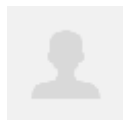


Kolonotatnik 32: Raport powyborczy



[Łukasz Drewniak](#)

[A](#) [A](#) [A](#)



Dzienniki Majdanu, reż. Wojtek Klemm,
Teatr Powszechny w Warszawie, fot. Magda Hueckel

1.

Każde wybory mają swoich wielkich wygranych i tych co sromotnie polegli. Ale najbardziej interesują mnie cisi i przeźroczyści bohaterowie. Skromni ludzie ze sztabów wyborczych, statyści drugiego planu, wolontariusze, ideowcy, aktywiści. Najczęściej nie znamy ich nazwisk, są tylko trybikami w furkoczącej maszynie politycznej. Ale bez nich maszyna by nie ruszyła. Tak się składa, że mogę opowiedzieć coś o jednej z takich anonimowych bohaterek ostatnich wyborów. Nazywa się Alina Czyżewska i jest aktorką, wyszła z offu, dawałem jej nagrody na festiwalach, jak jeszcze miała 16 lat, teraz grywa już staruszki. Żarcik – Alina jest młoda i dzielna! Kilka miesięcy temu zaangażowała się bez reszty w kampanię samorządową w Gorzowie Wielkopolskim. 33-letni wójt z Deszczyna, Jacek Wójcicki, rzucił wyzwanie urzędującemu w Gorzowie od 16 lat beznadziejnemu prezydentowi. Wójcickiego namówili do startu aktywiści z ruchu Ludzie dla Miasta, skrzyknęła się zielona partyzantka. Alina na długo przed pierwszą turą nie mówiła o niczym innym, jak o wyborach, teatr zszedł na drugi plan, prywatność nie istniała. I chyba nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Współorganizowała pikniki na parkingach i skwerkach, aktywizowała mieszkańców gorzowskich dzielnic i agitowała, agitowała, agitowała... Miasto ożyło. Nie lubiła, jak coś się marnuje w kampanii. Przyjechał do Gorzowa na festiwal Bamberka dziekan Wydziału Aktorskiego krakowskiej PWST Adam Nawojczyk, wymogła więc, by od razu opowiedział się w prasie za jej kandydatem. Nawojczyk oczywiście poparł. Gadała ze wszystkimi – z taksówkarzami i sprzedawcami. Bombardowała Urząd Miasta chytrymi zapytaniami, badała

nieprawidłowości kampanijne. Takich osób jak Alina było w Gorzowie kilkadziesiąt i dlatego ich kandydat wygrał już w pierwszej turze, zebrał ponad 60 procent głosów. Nokaut. Alina dorobiła się w trakcie tej kampanii ksywki Prezydentowa, bo weszła w swoją rolę absolutnie do końca, choć na pewno nie była osobą z pierwszego kręgu dowodzenia. Nie wierzyłem jej, że wygra, nie wierzyłem, że się uda. Ona wierzyła. Chcę więc w tej krótkiej powyborczej notatce bardzo nisko się Alinie pokłonić. Masz rację – są rzeczy ważniejsze niż teatr.

Prawdopodobnie ani jej, ani nikomu z tamtej gorzowskiej ekipy nie przypadnie za to szalone zaangażowanie i poświęcenie prywatnego życia żadna nagroda. To znaczy wygrali – postawili na swoim, naprawili świat. Zazdroszczę im energii, rozmachu w społecznym działaniu. Nasz krakowski ruch Kraków przeciw Igrzyskom powinien poważnie odrobić gorzowską lekcję (słupską również!). Bo trochę mi wstyd, że zamiast dynamiki Wójcickiego tematem zastępczym i przebojem dnia stały się u nas nowe buty i stylowa marynarka kandydata na Prezydenta Miasta skromnego i dopiero uczącego się polityki Tomasza Leśniaka. To była zła kampania, błąd w wyborze lidera, trzeba było znaleźć młodego samorządowca z doświadczeniem w zarządzaniu, budowanie renomy Leśniaka dopiero w trakcie kampanii nie mogło się udać.

2.

Obiecałem parę słów o *Jakobim i Leidental* z tarnowskiego teatru. Sztukę Hanocha Levina wyreżyserowała Małgorzata Warsicka, widziałem jej spektakl na krakowskim Forum Młodej Reżyserii. Nie mam pojęcia, jak sam Levin poustawił oryginalne akcenty w swoim debiutanckim przedstawieniu z 1972 roku, ale prześladuje mnie myśl, że Warsicka jest bardzo blisko autorskich intencji. Że czyta tę historię zerwanej przyjaźni i rywalizacji o kobietę dwóch czterdziestoletnich izraelskich kumpli tak, jakby narzucona forma cały czas boksowała się tu z czymś absolutnie intymnym. Można to porównać do częstego u Levina chwytu, czyli dyrektywy dla aktora, żeby grał tak, jakby stale wywracał ubranie na drugą stronę. Wtedy to, co intymne, staje się sztuczne i opatrzone cudzym słowem, a to, co zagrane, międzyludzko zakłamanie, przybiera postać unikalnego doświadczenia. W interpretacji Warsickiej *Jakobi i Leidental* to nie jest utwór o potrzebie bycia lepszym, to raczej wykład na temat uczucia pogardy. Znamienne przesunięcie znaczeniowe... Wszak Levin pokazuje cyniczny świat, w którym przegrywa przede wszystkim wyrachowanie głównych bohaterów. Każdy plan bierze w łeb, każde marzenie bankrutuje. Miłość nie jest dobrym interesem, małżeństwo nie będzie inwestycją na przyszłość, przyjaźń nie zapewni spokoju i stabilizacji. Człowiek to pułapka, w którą wpada inny człowiek. Potrzebujemy tych innych, żeby to im, a nie sobie codziennie pluć w twarz: „A nie mówiłem? Nie udało ci się? Jesteś beznadziejny...”. Dwójka bohaterów – Jakobi Bartka Woźnego i Ruth Matyldy Baczyńskiej – ma pobielone twarze. Wyglądają trochę jak kłowni, zgrywusi kabaretowi. Ten trzeci, *Leidental* (Jerzy Pal), jest śmieszny w sposób naturalny, za gruby, podstarzały, jowialny, jakby opóźniony w rozumieniu rzeczywistości i relacji między mężczyzną a kobietą, mężczyzna a mężczyzną. Nie trzeba mu nic malować na twarzy. Z gitarą na brzuchu wygląda jak karykatura osiedlowej gwiazdy rocka. I tylko smutno uśmiecha się do siebie, jakby przepraszał, że żyje, że jest taki, a nie inny. To Baczyńska i Woźny stale robią miny do publiczności, mrugają do nas, szukając akceptacji dla swoich cwanych posunięć. „Ale mu powiedziałam! Teraz mu pokażę! Patrzcie, jaki cyrk!”.

Ten balet grymasów, mrugnięć, uśmieszków rozmontowuje komiczne maski. Wchodzimy z aktorami w komitywę, nawet nie zauważając, jak mizdrzący się do nas bohaterowie stają się wredni, nieszczerze zaprogramowani. Jakby tylko dopowiadali pół kwestii do dawno napisanej i przetrenowanej przez innych roli. Nawet kiedy śpiewają Levinowe piosenki, część

syłab już jest nagrana na taśmie. Podrzucają więc dwa wyrazy i jedną emocję do ustalonego schematu. Jak każda sztuka Levina, tak i ta pełna jest pseudobrechtowskich songów, komentujących scenki, uzupełniających intencje aktorskie, obniżających rangę problemu. Śpiew ma demaskować postać, przenosić jej problem w estradową konwencję. Owszem, fenomenalna muzyka Karola Nepelskiego cytuje i Weilla, i berlińskie kabarety, i bawi się we wszelakie pastisze, ale jest też dobiegającą ze wszystkich stron dźwiękową otuliną. Jeszcze jednym kłamstwem świata, nieszczerym hymnem na cześć każdej próby przezwyciężenia strachu przed samotnością. Podejrzewam, że dla reżyserki Małgorzaty Warsickiej to przedstawienie jest rodzajem manifestu: tak nie umie kochać nasze pokolenie, coś w naszym życiu przekombinowaliśmy. Fałszywy kabaret, fałszywy musical, fałszywe rozpoznanie życiowych ról i zadań. Matylda Baczyńska nie tylko brawurowo mruga i krzywi się do widzów, przeciąga w czasie etiudę siadania na poduszce jak prawdziwa żydowska mama, objęła poduchowy farfocel jak głębię sąsiadce, gra blacharę udająca ćmę barową, w pewnym momencie przejmuje kontrolę nad sceną, z *Jakobiego i Leidentala* robi się spektakl o Ruth i tylko o niej. Idąc na kolejne kompromisy z poślubionym jej Jakobim, znosząc jego lęki i dziwactwa, a jednocześnie tresując pomieszkującego u nich Leidentala, Ruth walczy już nie o prawo do kobiecej zemsty i nie o dzieci, które się nie urodzą, tylko o własną godność. Bo właśnie ją straciła, realizując swój plan. Wielkie serio, które zaprowadzają na scenie aktorka i reżyserka, przypomina sondę głębinową spuszczoną do samego rdzenia twórczości Levina. Spośród męskich szaleństw, zwątpień i iluzji wyłania się przerażenie kobiety, która już wie wszystko o upokorzeniu i samotności. I że nie będzie już obok niej niczego poza nią samą. Z niej wyjdzie śmierć i cisza. I w tych kilku minutach samoświadomości w jej twarzy za rysami dwudziestokilkulatki pulsuje nagle starość, pustka i cierpienie.

Dojrzały, czysty, nieprzekombinowany spektakl. Szanuję robotę Marcina Hycnara z jego warszawskiej wersji *Jakobiego i Leidentala*, ale to Warsicka jest bliżej Levina. I mówi to, co najważniejsze.

3.

A po pierwszej turze na Dolnym Śląsku znowu alarm. Marszałek odbiera pieniądze, tnie budżety podległym mu instytucjom kultury. Przez chwilę groziło nawet, że wałbrzyski teatr trzeba będzie zamknąć, aktorów od Mieszkowskiego wziąć głodem, w przedstawieniach z Legnicy nakazać grać tylko co drugą scenę i przy wyłączonych światłach, a nawet przeprowadzić korektę granicy-polsko niemieckiej, żeby scenę jeleniogórską finansować powiedzmy z Drezna. Tuż przed drugą turą napięcie zelżało – szukają pieniędzy. Przepraszają się, tłumaczą. Może nie trzeba będzie zaozać teatrów dolnośląskich. Dziwne to doprawdy posunięcia władz tuż przed zbliżającym się świętem w postaci ESK. Co to ma być? Ćwiczenia z asertywności? Katastrofa na próbę? Znieczulanie opinii publicznej? Tak tworzy się fałszywe pola skupienia energii środowiskowej. Bo jak się trzynaście razy krzyknie: „Pali się!”, za czternastym razem nikt nie pobiegnie gasić. Jeśli do cięć budżetowych rzeczywiście dojdzie, jak Wrocław wytłumaczy się z Olimpiady, z rozbudowanego programu teatralnego w ramach imprezy? Czy to świętowanie wtedy będzie? Stypa nad trupem teatrów? Ostatnim tańcem przed potopem? Może przyszedł czas, by jeszcze raz wszystko policzyć i jeśli kryzys jest tak potężny, wycofać się z bizantyjskiej oprawy i świętować po europejsku, czyli we włosienicy i przy świecach. Bosy pastuszek na fujarce będzie wygrywał *Odę do radości*. Bohdan Zdrojewski w Brukseli pójdzie na szarlotkę.

Inna sprawa: a gdyby tak władza doszła do wniosku, że naprawdę zespołów i teatrów jest na Dolnym Śląsku za dużo, podczas gdy istnieją całe regiony Polski uszcienione w stopniu niedostatecznym. Jarosław Kaczyński w 2010 roku postulował, by w Siedlcach był teatr, ja

bezsukutecznie, choć z zapalem (Tomek Rodowicz świadkiem) przekonywałem dyrektora wydziału kultury do powołania stałego teatru w Przemyślu. Odpowiedzią na kryzys dolnośląski mogłyby być transfery całych gmachów teatralnych wraz z zawartością ludzką w miejsca, gdzie ich byt finansowy byłby w miarę zabezpieczony. Jelenia Góra przeniosłaby się do Bytomia, można by postawić budynek w miejsce jakiejś szkody górniczej, najlepsza nowa lokalizacja teatru z Legnicy to Radom. Wałbrzyskim teatrem można by z powodzeniem zastąpić nowohucki Teatr Ludowy. Aktorzy poznaliby nowe środowiska i krajobrazy, dyrektorzy zyskali wsparcie lokalnych elit, reżyserzy impuls twórczy. Panie marszałku, pani premier – to da się zrobić. Jakby co, narysuję schemat transferu...

4.

Dzienniki Majdanu Wojtki Klemma w warszawskim Powszechnym Pawła Łysaka. Spektakl, jak to u Klemma, przyzwoity, oparty na rytmie i ruchu. Z wybitą do przodu tezą o pokojowej rewolucji, która nie wiadomo do czego doprowadzi, o rodzeniu i wypłakiwaniu ojczyzny z siebie. O absurdzie zachowań zbiorowych i dziwnych przejawach heroizmu. Widziałem lepsze, bardziej klarowne przekazy Klemma. Jego metoda sprawdzała się, kiedy rozpędział klasykę albo dramat polityczny. Tu ma do dyspozycji inny materiał. Zapisane przez Natalię Woróżbyt monologi uczestników protestu. Świadców narodzin historii, kolejnego roku zerowego w dziejach Ukrainy. I ten teatr dokumentalny jako projekt sceniczny, plan przedstawienia, starzeje się – zestarzał się najszybciej. Co innego relacja z Majdanu w lutym, a co innego listopad w Warszawie z pamięcią o letniej wojnie o Donbas, rosyjskich białych konwojach, zestrzelonym samolocie. Wyznania Ukraińców, którzy widzieli zdarzenia na ulicy Instytuckiej i Chreszczatyku, zapis ich dojrzewania do walki i odpowiedzialności brzmi dziś jak katalog złudzeń. Klemm stosuje metaforę przebierania się za wojowników. Siódemka aktorów wnosi na tarczach przerobionych ze znaków drogowych stertę ubrań. Nakładają je na siebie jak kolejne elementy zbroi albo mundury walczących stron. Układy choreograficzne przedzielone są monologami bohaterów. I tyle. Żadnych fajerwerków, projekcji telewizyjnych, wspomnień, jak było. Dwa razy naprawdę mnie zakłuło w tym spektaklu. Pierwszy raz, gdy Paulina Chruściel opowiadała o tym, co czuła kiedy czterech chłopaków z Donbasu weszło do kijowskiej kawiarni. Bo jest w głosie patriotki nienawiść. Zamiast typowych dla pokojowego Majdanu słów „przepraszam”, „dziękuję”, „proszę”, pojawiają się hasła: „krew”, „nabój”, „odwet”. W tym jest już zapowiedź tego, co nastąpiło. Tu do głosu dochodzi aktualność, reszta spektaklu ma charakter niestety archiwalny. Teatr znowu dał się wyprzedzić wojnie i polityce. A drugi moment ukłucia w widowisku Klemma to rozbudowany żarcik o zagranicznych reżyserach odwiedzających Majdan. Najpierw przyjeżdża Litwin Oskaras (Koršunovas naprawdę tam był, grali z OKT wtedy jakieś spektakle w Kijowie), potem największy niemiecki reżyser Frank (Castorf), potem polski guru Krzysiek (Warlikowski), wreszcie sam Steven (Spielberg) z Ameryki. A narrator Ukrainiec (Michał Sitarski) pokazuje im Majdan jak wschodni Disneyland: tu jemy, tu walczymy, tam umieramy. I robi to bez poczucia obciachu, jakby realizował europejskie zapotrzebowanie na turystykę rewolucyjną. Michał Sitarski szczerzy złośliwie zęby, a ma ich tyle jakby nabrał w usta setkę łusek po serii z broni maszynowej. Rewolucja może być komiczna, jej incydentalny absurd zapowiada jednak okrucieństwo i horror. Po Majdanie był Donbas.

5.

Było coś nieuchwytnie sympatycznego w zakończonym 21 listopada rzeszowskim Festiwalu Nowego Teatru. Może odpowiadał za to radykalny gest zaproszenia do konkursu samych młodych reżyserów i niekomercyjnych (poza Rychcikowymi *Dziadami*) przedstawień,

postawienie na doktoranckie i studenckie nieomal jury. W Rzeszowie nie było jednak elitarnie i branżowo, było desperacko specjalistycznie i naprawdę bezpretensjonalnie. Przegapiłem przez ten przegląd pierwszą turę wyborów, ale co rusz zaproszone spektakle prowokowały do obywatelskich dyskusji. Nie mnie podsumowywać program, moim zadaniem jest wychwycić festiwalowe niecodzienności, bo po to powstał *Kolonotatnik*. Więc najpierw – lada z książkami nie tylko teatralnymi przy szatni Teatru Siemaszkowej. Jak zwykle się obkupiłem. No i Scena Industria na dachu Galerii Rzeszów obok parkingu. W długim korytarzu, może magazynie, za przepierzeniem nowoczesna, ogrzana przestrzeń, w której zmieścił się i Liber z *Utworem o matce i ojczyźnie*, i Szczawińska z *Terenem badań: Jeźycjadą*. A zwłaszcza nowa premiera teatru – *Stara kobieta wysiaduje* w inscenizacji debiutanta Kuby Falkowskiego. Nie lubię tego apokaliptycznego dramatu Różewicza. I nie wierzę, że da się z zawartej w nim metafory wyciągnąć coś ważnego. Ale... Michał Pabian popracował nad adaptacją, dokonał aż trzynastu interpolacji w Różewiczowski tekst (rozpoznałem może z połowę) – dodał bardziej współczesne wiersze, przyspieszył rytm obrazów. Zaslugą Falkowskiego było uruchomienie Starej Kobiety, którą w fotelu obwoził po scenie Narrator. Dzięki temu zabiegowi korowód popkulturowych bohaterów wędrował po scenie w groteskowym *danse macabre*, ale i ona zmieniała swój punkt obserwacyjny Apokalipsy. Podobała mi się też instalacja przygotowana przez reżysera, którą zwiedzaliśmy przed samym spektaklem. Ciekawsza niż sam spektakl, prawdę mówiąc. Uwagę moją przykuł zwłaszcza filmik z robieniem pierogów z plastikowych figurek żołnierzyków. Takie rosyjskie zielone ludziki w miniaturowej, domowej produkcji, jadalne. Znacnie inny festiwal, który otwierałby się premierą debiutanta? Bo ja chyba nie... Ale najciekawszy w premierze Falkowskiego był i tak pomysł na Chłopca, który u Różewicza przychodzi w finale sztuki i jest napominany przez mundurowego za bezmyślne rzucenie papierka na ulicę pośrodku śmietniska. Otóż młody rzeszowski aktor był ubrany w krótkie spodenki i plecak, na głowie nosił dziwną białą czapkę z niedźwiedzimi uszami. Dla wtajemniczonych wszystko było jasne: to Finn z emitowanego na Cartoon Network serialu *Pora na przygodę*. Oto człowiek Finn, prawdopodobnie ostatni człowiek na Ziemi, wędruje wspólnie z transformacyjnym psem o imieniu Jake. Idą sobie jak ojciec i syn z powieści Cormaca McCarthy'ego przez świat po katastrofie nuklearnej, przez zło i dziwność, tyle tylko, że postapokaliptyczną rzeczywistość zwaną krainą OOOO wypełnia mit i kodeks honorowy, pragnienie miłości i szal międzygatunkowych połączeń. Króluje surrealizm, cynizm, magia i nauka egzystują na tych samych prawach. Każda z postaci poza Finnem to jakaś hybryda gatunkowa, efekt mariażu technologii z chorą wyobraźnią. Ten serial to już fenomen kulturowy. Za parę lat wejdzie do teatru pokolenie wychowane na wściekłych asocjacjach z *Pory na przygodę*. Przygotujcie się! Falkowski jest pierwszy, tylko przeciera drogę. Być może otwieranie Różewicza na takie niebezpieczne związki popkulturowe jest jedyną możliwością rewitalizacji dramatu. To jak szukanie porządku na wysypisku śmieci, segregacja materiału, odzysk utraconych sensów i obrazów.

No, to teraz już wiecie, skąd w tytule ostatniego *Kolonotatnika* ta „królewna grudkowego kosmosu”. Z krainy OOOO. W serialu mówi głosem Jarosława Boberka i jest gąbczastą fioletową kulką z wiecznie skwaśniałą miną i gwiazdką wybitności na czole. Cały czas narzeka i nikomu nie daruje. I jeszcze wpiernicza kanapki od rodziców. Plotkuje, histeryzuje i gryzie. Pokąsani bohaterowie zamieniają się w podobne do niej grudkowato-gąbczaste istoty. Tak... już chyba jasne, że nie ukrywała się pod tym pseudonimem żadna z bohaterek tamtego tekstu. Ani Jaśmina Polak, ani Judyta Berłowska... Żadna z bohaterek, powtarzam.

6.

Śniła mi się dwa dni temu pani Sara Bednarczyk. Bardzo ją za to przepraszam, zwłaszcza że

nigdy nie byłem jej przedstawiony, a mimo to mój sen w jakiś niepojęty dla mnie sposób zagarnął ją w swój surrealny nurt. Mogę się tylko usprawiedliwić, że od zeszłej środy widziałem dość często jej nazwisko obok mojego i może stąd to całe oniryczne zamieszanie. Jednak to chwilowa portalowa współobecność z imienia i nazwiska nadała naszemu nieoczekiwanemu epistolarnemu związkowi charakter publiczny, a o ile wiem, wolno mieć sny o osobach publicznych i publikujących. Zwłaszcza że był to sen absolutnie nieerotyczny i niekompromitujący w żadnym punkcie ani jej, ani mnie. Otóż lizaliśmy razem znaczki pocztowe, a następnie naklejali je na wielką białą kopertę. Pragnę podkreślić, że każde z nas lizało swój znaczek i naklejało na swojej połówce koperty, żadnego bezpośredniego kontaktu nie zanotowałem, choć przyznaję, raz mogło się zdarzyć, że przez pomyłkę polizałem znaczek, który wypadł pani Sarze z palców po uprzednim polizaniu go przez nią. Chyba się ścigaliśmy, kto pierwszy naklei więcej, stąd moja zachłanność na tak zwane „językowo podupadłe” znaczki. Jak wspominałem, koperta była naprawdę wielka. Zachodzę w głowę, do kogo miał to być list. Do PKW? Pana Boga? Komitetu Helsińskiego? Bałem się sprawdzić w senniku Artemidora. Bo a nuż będzie tam pozycja: „lizać znaczki pocztowe – amforę ze świeżym ziarnem otrzymasz”.
Na cholere mi amfora?

7.

Dobre wieści z Poznania. Przecieram oczy ze zdumienia. Poznaniacy walnęli pięścią w stół. Ryszard Grobelny – *adieu!* Nie pomogło mu zgolenie wąsów, flirt z prawicą i sztama z kibolami. Upadek „maratończyka” to nie tylko sukces PO i ruchów miejskich, ale także prywatny triumf Ewy Wójciak i Teatru Ósmego Dnia. Koniec prezydenta to jednocześnie chyba koniec sprawy odwołania Ewy z funkcji dyrektora teatru. Anulowanie wszystkich rozporządzeń poprzedniej ekipy w tej sprawie powinno być jedną z pierwszych decyzji nowej władzy w mieście. A i Ósemki mogą zacząć nowy rozdział w rozmowach z radnymi. No i Malcie będzie łatwiej. Michał Merczyński już na pewno dzwoni do Rodrigo Garcii i zamawia u niego *sequel Golgoty*. Grobelny przegrał nie z powodu Festiwalu Okupacyjnego Ósemek i niekoniecznie za sprawą wstydu narobionego Poznaniowi w Polsce i Europie. Być może wystarczyło, że skumulowały się teraz na jesieni wszystkie błędy wizerunkowe, rozgrzebane remonty i polityczne kręactwa. Brak jasnego komunikatu ze strony prezydenta, czego tak naprawdę chce od poznańskich artystów, był tylko jednym z wielu kamyczków, które przeważały szalę. Przepraszam, komunikat był, tyle że nie do przyjęcia. Ewa i zespół byli na straconej pozycji, ale chyba krzyczeli wystarczająco głośno i uparcie, by do poznaniaków dotarło, że wokół nich w mieście zaczyna gęstnieć absurd i naprawdę nefajna atmosfera. Kto wie, czy cichym bohaterem tych wyborów nie był jednak artykuł Marcina Kąckiego o emeryturze biskupa Paetza. Ja odnalazłem w tej relacji wzruszający obraz zakochanego, starzejącego się, już prawie 80-letniego mężczyzny. Taką poznańską *Śmierć w Wenecji* na Ostrowie Tumskim. Z korowodami Tadziołów, którzy przynoszą arcybiskupowi butelki wina, chwałą jego opalenizną, jedzą na śniadanie parówki. Byłaby to zaiste opowieść o zakazanej miłości, gdyby nie drobny szczegół: arcybiskup walczy o zdjęcie anatemy, bywa na poznańskich salonach, a jego wojna podjazdowa z biskupem Gądeckim ma charakter komiczny, przypomina utarczki Pawlaka i Kargula. Kto, wie, czy nie po tej publikacji przymilający się do hierarchów Grobelny poleciał w sondażach na łeb na szyję. Prezydentem Poznania został Jacek Jaśkowiak. Tak, tak – jeden z bohaterów *Graczy* Marcina Wierzchowskiego i Romana Pawłowskiego wystawionych dwa sezony temu w Teatrze Nowym w ramach cyklu o Jeźcach. To się nazywa obstarwić właściwego konia! Ustami aktora prezydent elekt opowiada w nim historię swojego życia, sukcesów biznesowych, przyjaźni z Jackiem Kaczmarskim, dojrzewania do związków z kobietami. Skoro jest to spektakl o prezydencie, podejrzewam, że nigdy nie zejdzie z afisza Teatru Nowego! Sam

Jacek Jaśkowiak był podobno bardzo zadowolony z efektu scenicznego, że może kolegów biznesmenów przyprowadzić do teatru i pokazać: Patrzcie, to ja, słuchajcie, to o mnie. Teraz być może na to przedstawienie przed Teatrem Nowym będą się ustawiać kolejki z magistratu, dyrektor Kruszczyński (pozdrawiam i gratuluję intuicji!) ma osiem lat na stanowisku jak nic. A Roman Pawłowski być może dostanie propozycję objęcia funkcji wiceprezydenta miasta do spraw kultury. Będziemy to, co się zdarzyło w Poznaniu, nazywać – ba, już nazywamy – Cudem nad Wartą.

8.

A teraz *Kołodotnikowy* dział *Rozmaitości*, czyli *Trudna sztuka streszczania...*

Jak wiadomo, najlepiej swoje sztuki streszczał Witold Gombrowicz. Nic mi nie wiadomo, czy Tadeusz Różewicz potrafił to robić równie zwięźle i dowcipnie. Od czegoż jednak są dziennikarze? W rzeszowskich „Nowinach Gazecie Codziennej” nr 189 przed wrześniową premierą *Białego małżeństwa* w Teatrze Maska pani Ula Sobol opublikowała pod wielce wymownym tytułem *Sztuka „Białe małżeństwo” kipi erotyzmem* taki oto jak mniemam pastiszowy synopsis wyklętego niegdyś utworu:

„Psychologiczna sztuka utkana została na dramacie Różewicza. Jest intrygująca, trzymająca w napięciu, wypełniona erotyzmem i problemami seksualnego dojrzewania. Akcja toczy się w białym dworku, a każdy z bohaterów ma problem ze swoją fizycznością. Zniewolenie dotyczy nie tylko ciał, ale także dusz. Dwie siostry – przyciągające się przeciwieństwa – prowadzą nocne rozmowy o seksie i rozmnażaniu. Ich ojciec i dziadek uganiają się ciągle za innymi kobietami, a nieszczęśliwa matka czuje się wykorzystana. Owdowiała ciotka czyha na kochanka, a niedoświadczony Benjamin kocha się w jednej z sióstr. Dramat śmieszy frywolnymi scenami, przeraża ludzkimi problemami, a bohaterowie budzą litość”.

Tak, pani Ula trafiła w punkt: *Białe małżeństwo* to jest sztuka o litości.

3-12-2014